

Sarajewo a nie Pearl Harbor, inne aktualności, nauka

Jacek Koronacki

Nieporozumienia wokół wojny z terroryzmem

Już parę dni po zbrodniczym ataku terrorystycznym na Amerykę, w obiegu znalazło się porównanie tegoż aktu z japońską napaścią na Pearl Harbor. Wszyscy, którzy posługiwali się tym porównaniem, byli przy tym najdalsi od myśli, że ewentualne podobieństwa między wydarzeniami z 7 grudnia 1941 oraz 11 września 2001 nie ograniczają się do tego, że obydwa okazały się kompletnym zaskoczeniem, ale polegają także na tym, iż obydwa były wbrew pozorom w jakimś sensie do przewidzenia. Polityka amerykańska była wobec Japonii nieprzyjazna od końca I wojny światowej¹. Zachód konsekwentnie sprzeciwiał się japońskiej polityce imperialnej na Dalekim Wschodzie i miał oczywiście do tego prawo. Ale kiedy w lecie 1941 zaczęło się wśród elity politycznej USA mówić o wprowadzeniu embarga na japońskie zakupy ropy amerykańskiej, sam Roosevelt powiedział, że embargo oznaczać będzie wojnę i początkowo sprzeciwiał się jego wprowadzeniu. Tym niemniej, we wrześniu embargo było faktem, co – powtórzmy, bez względu na to jak oceniać ówczesną amerykańską politykę na Dalekim Wschodzie – powinno było uczulić wywiad, wojsko oraz polityków USA na możliwość ataku ze strony Japonii². Z kolei 14 września 2001 tak pisał w swoim artykule Paul Craig Roberts³: *Terrorystyci prowadzą swoją wojnę w jedyny sposób, w jaki może ją prowadzić przeciw supermocarstwu – ruchem militarnie słabym. My zaś, choć nie uznajemy tego faktu, jesteśmy od lat postrzegani przez terrorystów jako ich wróg. Rutynowo bombardujemy Irak i jesteśmy sprzymierzeńcami osaczonego Izraela. Wspieramy Saudyjczyków z myślą o tym, by ropa płynęła na Zachód. Przez to wszystko i z innych jeszcze powodów mamy na pieńku z różnymi ugrupowaniami muzułmańskimi. O tym, że polityka bliskowschodnia Ameryki doprowadzi w końcu do niekonwencjonalnego, terrorystycznego ataku na terenie supermocarstwa pisał Joe Sobran od lat. I oto nagle 11 września wszyscy (ściśle, niemal wszyscy) poczuli się zaskoczeni⁴.*

Wszakże, nawet jeśli wziąć pod uwagę obydwa wspomniane podobieństwa, trudno nie zauważyć, że są one w oczywisty sposób powierzchowne. Każdy przytomny obserwator sceny politycznej musiał od początku dziwić się popularności, jaką sobie porównanie dramatu z 11 września z atakiem na Pearl Harbor zdobyło w amerykańskich mediach. Tak samo musiał dziwić się mantrą typu „już nic nigdy nie będzie takie samo, wszystko się zmieniło, nadszedł czas nowy”. Czyżby zatem nastąpił nam prawdziwy koniec historii?? Chyba najciekawszej odpowiedzi na te wątpliwości udzielił na łamach kwartalnika „The National Interest” (nr 66, jesień-zima 2001/2002) specjalista w dziedzinie historii nowożytnej Europy, Paul Schroeder, emerytowany profesor Uniwersytetu stanu Illinois w Urbana-Champaign⁵.

Streszczając stanowisko prof. Schroedera zacząć trzeba od kolejnej oczywistości -- porównywanie aktu terroru z początkiem regularnej, konwencjonalnej wojny o władzę i terytoria jest zabiegiem gorzej niż bezużytecznym. A jest w historii, która nadal może uczyć, wydarzenie dobrze nadające się do porównania z 11 września. Jest to mianowicie zamach w Sarajewie na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. *Analizując historyczne analogie łączące*

wydarzenia z lata 1914 i jesieni 2001 – pisze prof. Schroeder – można wyciągnąć trzy lekcje. **Po pierwsze, mocarstwo musi uniknąć zaoferowania terrorystom wojny, której ci chcą, zaś mocarstwo nie chce. Po drugie, mocarstwo musi rozważyć nie tylko bezpośrednio konsekwencje swych działań, ograniczając się do wąskiego kontekstu politycznego i krótkiego horyzontu czasowego, ale też musi rozważyć wpływ tych działań na szeroki kontekst polityki międzynarodowej w tych wszystkich jej aspektach, które są istotne dla mocarstwa. I po trzecie, mocarstwo musi tak samo strzec się przed niebezpieczeństwami wynikającymi z porażki, jak przed ryzykiem związanym ze zwycięstwem. Nie byłoby ani rozważne ani mądre, gdyby Stany Zjednoczone okazały się jeszcze bardziej zaangażowane na Bliskim Wschodzie niż są obecnie, oraz ryzykowały zrodzenie się jeszcze większych niebezpieczeństw w przyszłości starając się opanować mniejsze niebezpieczeństwa aktualne.**

Zamachu w Sarajewie dokonała mała grupa terrorystyczna Gavrilo Principa, składająca się głównie z bośniackich studentów. Grupa Principa działała w owym momencie na własny rachunek, ale była przecież częścią – zwraca uwagę Schroeder – całej sieci podziemnych organizacji działających w monarchii Habsburgów i w Serbii. *Organizacje zwalczające monarchię były wspierane, trenowane i zaopatrywane w broń przez serbski wywiad. Rząd Serbii dobrze o nich wiedział, sprzyjała im panserbaska organizacja w Serbii, która chciała utworzenia Wielkiej Serbii. Radykalna ideologia panserbaska miała poparcie w serbskim parlamencie, w tamtejszej prasie i wśród polityków. Serbia była wspierana przez Rosję, jako środek izolowania i paraliżowania Austro-Węgier.*

Wielu chciało upadku Habsburgów, pisze Schroeder, ale nikt nie chciał wojny. To słabość monarchii – delikatnie wspierana przez innych – miała ją doprowadzić do samoistnej klęski. Nikt nie chciał wojny poza Principem, który to przyznał w więzieniu. Jeśliby w wyniku międzynarodowej wojny Serbia wygrała, powstałaby Wielka Serbia. Jeśliby przegrała, kalkulował Princip, Serbia znalazłaby się we władaniu Austro-Węgier, ale w ten sposób zjednoczeni zostaliby w jednym państwie – wprawdzie w niewoli – wszyscy Serbowie. I dalej wszyscy mogliby dalej wspólnie walczyć o ostateczne zwycięstwo.

Austro-Węgry dobrze wiedziały o działaniach podziemia, polityce serbskiej i rosyjskiej, ale za nic nie chciały wszczynać wielkiej wojny. Tyle, że po zamachu na arcyksięcia Austro-Węgry uznały, iż mogą w ramach wojny lokalnej rozprawić się z Serbią – Rosja miała na taką wojnę pozwolić w imię obrony wszystkich tronów przed terroryzmem i rewolucją. Co więcej, Austro-Węgry, które poprzez cały XIX wiek unikały samodzielnego przeciwstawiania się zagrożeniom i wołały w takich chwilach opierać się na współpracy z europejskimi sprzymierzeńcami, uznały, że w roku 1914 ów system wzajemnego bezpieczeństwa już nie istniał. *Innymi słowy, terroryści, którzy spowodowali wybuch wojny, chcieli jej, ale nie mogli jej sami wywołać; ci, którzy im pomogli przygotować akcję, wojny nie chcieli, ale w takim czy innym stopniu zostali w nią wciągnięci; a największy wróg terrorystów, który miał najwięcej powodów, by wojny uniknąć, dał im wojnę, której chcieli.*

Analogii między latem 1914 i jesienią 2001 nie wolno posunąć zbyt daleko. Różnice między ówczesnymi Austro-Węgrami i dzisiejszymi Stanami Zjednoczonymi są przecież niesłychane – z jednej strony upadająca monarchia, z drugiej jedyne supermocarstwo na ziemi. Również świat z roku 1914 nie jest porównywalny z tym z roku 2001. A jednak uderza nie tylko podobieństwo między Principem i jego ludźmi oraz bin Ladenem i jego organizacją, ale także między tymi, którzy udzielali byli poparcia Principowi oraz tymi, którzy znaleźli się po stronie bin Ladena. *Tylko bin Laden chciał wciągnięcia USA w wojnę; inne ugrupowania fundamentalistyczne, Talibowie, rządy Iraku, Iranu, Syrii, Sudanu, Libii na pewno tego nie*

chciały. Uderza też to, ile o bin Ladenie, o jego wcześniejszych akcjach terrorystycznych, o Al Kaidzie i jej komórkach w USA Amerykanie wiedzieli, i mimo to jak niewiele uczynili by do ataku z 11 września nie doszło; a to z kolei doprowadziło do wojny, która nie zostałaby podjęta, gdyby atakowi zapobieżono. Zupełnie jak w przypadku monarchii Habsburgów? Co więcej, choć skądinąd to zupełnie zrozumiałe, odpowiedź rządu amerykańskiego na atak z 11 września była i w tym podobna do odpowiedzi rządu Austro-Węgier na zamach w Sarajewie, że niedawna decyzja o wojnie była niezgodna z generalnie przyjętymi zasadami stosunków międzynarodowych.⁶

Odwoływanie się do ustalonych zasad stosunków międzynarodowych nie jest sloganem. Ich przestrzeganie sprzyja stabilności przyjmowanych rozwiązań. Wiele się pisze, zresztą trafnie, o opresyjnym charakterze takich reżimów jak iracki, irański, syryjski czy libijski, o wspieraniu przez nie terroryzmu. Są to państwa zbójckie, by użyć współczesnej nomenklatury. Ale stąd nie wynika, że wystarczy te kraje najechać, zbombardować, potem wspomóc finansowo i wszystko się dobrze ułoży. *Co stanie się z regionem i szerszym układem stosunków międzynarodowych – pyta prof. Schroeder – gdy się wymienione państwa pozbawi ich rządów, wprowadzie brutalnych, ale stabilnych?* Czytanie analiz najróżniejszych autorów zdaje się świadczyć, że nie ma pomysłów na nowe, stabilne i demokratyczne rządy w regionie. Zaś prof. Schroeder przypomina taką naukę z historii płynącą – z gwałtownych przemian najczęściej wynika jeszcze większe zło i wiele czasu potrzeba by temu nowemu złu zaradzić. I stwierdza, iż **aby mogła zapanować sprawiedliwość, albo choćby wygrać wojnę z terroryzmem, konieczne jest istnienie stabilnego, międzynarodowego ładu. Na krótką metę taki ład mógłby zapewnić imperialny hegemon, ale aby był to ład trwały, hegemon musi być postrzegany jako przynajmniej dający się tolerować, lepiej zaś jako hegemon naturalny. W regionie, o którym mowa, Ameryka zdaniem prof. Schroedera nie ma szans na bycie takim hegemonem.** I przeto powinna się stamtąd wycofać, gdy tylko będzie mogła przekonująco ogłosić swoje zwycięstwo, w ten sposób zachowując prestiż w świecie i nie zamykając sobie drogi do ułożenia stosunków z państwami regionu po swojej myśli. Powinna też Ameryka zrobić wszystko, by innym, historycznie i geograficznie bliższym krajom przekazać przywództwo w dziele zabiegania o ład w regionie. Fakt, że na przykład namówienie Unii Europejskiej na większą aktywność polityczną na Bliskim Wschodzie jest zadaniem delikatnie mówiąc trudnym, nie czyni inwazji USA na Irak racjonalną, zwłaszcza zważywszy, że wewnętrzne problemy tego kraju – państwa o granicach wyznaczonych przez brytyjskie imperium w roku 1918, z jego kurdyjską północą, sunnickim centrum i szyickim południem -- są nieporównanie bardziej złożone niż ostatnio zaatakowanego Afganistanu. Myśl o zaatakowaniu Iraku tym bardziej jest trudna do obrony, że takiemu atakowi sprzeciwia się świat arabski.

Wspomniałem już o mnogości publikowanych analiz dotyczących świata islamu. Dochodzi do tego mnogość opisów możliwych dalszych losów konfrontacji Zachodu z tamtym światem. W prasie uznawanej za konserwatywną, ale w istocie neokonserwatywnej, zdecydowanie króluje ochota na rozprawienie się z irackim władcą, czyli namawia się do ataku na Irak. Dobrym analizom świata islamu (np. Paul Johnson, David Pryce-Jones, John O'Sullivan i Ramesh Ponnuru w „National Review”) nie towarzyszy jednak przekonujące uzasadnienie racjonalności wojny z Irakiem. Brak rozwiązań dających wyraźną szansę na uporządkowanie sytuacji w Iraku, choćby w odległej perspektywie. W ostatnim numerze „Foreign Affairs”, czyli periodyku fachowego, za inwazją opowiedział Kenneth Pollack, w latach 1999-2001 dyrektor d/s regionu Zatoki Perskiej w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa. Co ciekawe (i, wydaje mi się, absolutnie słuszne), Pollack uważa jej wiązanie z wojną przeciw terroryzmowi za nonsens. Uważa przy tym opowiadanie się za inwazją za wyraz swego rodzaju bezradności

– zagrożenie ze strony Iraku jest (jego zdaniem) zbyt duże, by pozostawić to państwo samemu sobie, natomiast polityka USA wobec Bliskiego Wschodu była tak zła, że dziś już innego rozwiązania niż inwazja nie ma. Trzeba też dodać, że Pollack nie namawia do ataku nieprzemyślanego, podjętego na łąpu capu, już dziś. Nie można jego zdaniem z inwazją zbyt się spieszyć, trzeba ją przygotować jak najlepiej, wybrać też jak najlepszy moment jej podjęcia, nie nazbyt jednak odległy. Jednak, jak inni, nie potrafi przekonać, że jego scenariusz ma wystarczające szanse powodzenia na dłuższą metę.

Jak dobrze wiadomo, zagrzewaniu do wojny z Irakiem ma pomagać specjalna retoryka, na przykład mowa o „osi zła”, czyli – co słusznie napisał Sobran – tworze, którego nie ma. Bo też jakie to tajne układy łączą Irak, Iran i Koreę Północną? Co mają ze sobą wspólnego te trzy kraje, poza tym, że nie lubią USA, mają lub chciałyby mieć broń nuklearną i środki jej przenoszenia, ale przecież istnieniu Stanów Zjednoczonych zagrozić nie mogą? Oczywiście, wirtualny charakter owej osi nie przeszkadza temu, że hasło jest chwytliwe i swoją rolę spełnia⁷. A to, że Irak i Iran przyjaciółmi nie są, że wojna między nimi lat temu 20 kosztowała ponad milion ludzkich istnień, że Korea Północna jest umierającą z głodu wyspą komunizmu na końcu świata, znaczenia nie ma.

Konserwatyści nie zgadzają się na faktyczne zastąpienie refleksji Ameryki nad samą sobą oraz jej polityką azjatycką natrętnym powoływaniem się na rozpętanie przez islam wojny z Zachodem. Islam się do rzeczonyj wojny wcale nie spieszy, zaś Ameryka uczyniłaby lepiej zaczynając od eliminacji własnych słabości, które to słabości jej wrogowie wykorzystują jak potrafią najlepiej. Po pierwsze wypada w tym miejscu wrócić do problemu, któremu poświęcony był poprzedni odcinek niniejszego przeglądu, czyli do absurdalnej polityki imigracyjnej USA. Sytuację tak krótko streszcza Paul Craig Roberts: *Glupotą jest bycie sprzymierzeńcem Izraela w jego walce przeciw muzułmańskim wrogom i jednocześnie otwieranie granic muzułmańskim imigrantom*. Innymi słowy, jeśli już się jakąś politykę zagraniczną prowadzi, nie prosimy się o dodatkowe i dające się przewidzieć kłopoty z nią związane. Jeszcze większym i bardziej niebezpiecznym nonsensem jest amerykańska wielokulturowość oraz poprawność polityczna obecnego liberalizmu. Zbyt wiele już napisano o tym, że Ameryka jest rajem dla wszystkich możliwych muzułmańskich ugrupowań nacjonalistycznych i terrorystycznych, że sama wyszkoliła na kursach pilotażu terrorystów na nią napadających, by to wszystko powtarzać. Tak samo wiele napisano o tym, że obarczanie dziś winą o cokolwiek CIA i FBI nie ma sensu, bo organizacje te zostały sparaliżowane w imię absurdalnie rozumianych praw jednostki.

Ale ciągle nie dość się pisze o tym, że zasadniczą przyczyną cichej inwazji islamu jest duchowy kryzys – jeśli nie upadek – Zachodu, zerwanie z korzeniami chrześcijaństwa. Ci, którzy przeżywają jesień, są niejako na własne zaproszenie najeżdżani przez żywioł wschodzący. Pisali o tym publicyści „Chronicles” w roku 1999 (ich głosy powtórzyliśmy w ARCANACH 5/1999). Owa cicha inwazja jest bardziej niebezpieczna niż akty terroru i można zasadnie utrzymywać, iż cała za nią odpowiedzialność spada na najeżdżanego. Sobran przypomniał, że w latach trzydziestych przewidział taki obrót spraw w rywalizacji między chrześcijaństwem a islamem wybitny katolicki komentator Hilaire Belloc (uczynił to w książce „Wielkie herezje”). A my przypomnijmy choć krótki cytat z wypowiedzi Kishore Mahbubaniego, singapurskiego politologa i dyplomaty, opublikowanej przez „Foreign Affairs” w roku 1993, w ramach dyskusji nad Huntingtona „Zderzeniem cywilizacji”: *Skoro inne cywilizacje były na świecie od wieków, dlaczego teraz oto nagle stają się [dla Zachodu] wyzwaniem? Poważna próba odpowiedzi na to pytanie ujawnia fatalny błąd, jaki stał się udziałem zachodniej umysłowości – Zachód nie jest w stanie pojąć, iż w świat własnych*

podstawowych wartości oraz instytucji wprowadził strukturalną słabość. A dalej pisał Mahbubani o masowym społecznym i moralnym upadku Zachodu, o jego duchowym rozbrojeniu. (Pisał też o nieumiejętności Zachodu wypracowania jakiegoś *modus vivendi* ze światem nierozwiniętym⁸.) Czy ta swojego rodzaju bezradność Ameryki, przy jej jednocześnie bezprzykładnej potędze militarnej, nie jest dziś jednym z czynników popychających ją do ewentualnej wojny z Irakim?⁹

Inne aktualności

Wspomniana już w tym odcinku polityka imigracyjna USA stała się ostatnio przedmiotem ataku nie tylko stałych współpracowników „Chronicles”, ale także innych komentatorów, w tym także już przywoływanego Paula Craiga Roberts’a. Wszakże całą książkę poświęcił tej i pokrewnej tematyce Patrick Buchanan. Książka nosi znamienity tytuł, „Śmierć Zachodu: Jak umierające populacje i inwazja imigrantów zagrażają naszemu krajowi i cywilizacji”. Poświęcę jej więcej miejsca w przyszłym odcinku, teraz tylko zwrócę uwagę, że już sam tytuł przywołuje na myśl słynne (wśród konserwatystów oczywiście tylko) „Samobójstwo Zachodu”, książkę Jamesa Burnhama z roku 1964, w której autor przedstawiał współczesny amerykański liberalizm jako ideologię dla Zachodu *sensu stricto* samobójczą. Burnham nie oskarżał liberalizmu o przyniesienie schyłku, bo ten już trwał, gdy nowoczesny liberalizm nastawał, ale o to, że dostarczał owemu schyłkowi przychylnej racjonalizacji. Jak się ładnie wyraził Joe Sobran, liberalizm był zdaniem Burnhama jak „środek znieczulający, eutanazja dokonywana na śmiertelnie chorym pacjencie”. Buchanan widzi w zwolennikach postępu ideologów, którzy świadomie i celowo podjęli atak na chrześcijaństwo i w ten sposób stali się współcześnie siłą sprawczą kryzysu Zachodu.

Owoce postępu są w dłuższej perspektywie zagrożeniem prawdziwie śmiertelnym. Na co dzień jawią się jako rzeka trudnych do zniesienia absurdów. Kolejna garść przykładów, które pomieszczam w każdym odcinku przeglądu, pochodzi z artykułów najbardziej znanych -- i uznanych -- komentatorów.

Kalifornijski wydział edukacji publicznej zaaprobował podręcznik „Przez wieki”, w którym powtarza się wytłuszczonym drukiem fałszywe stereotypy o Inkwizycji i paleniu czarownic, a ewangeliczne cuda przedstawia jako bajki podane do wierzenia. Więcej miejsca poświęca się w podręczniku islamowi, w tonie wyłącznie pozytywnym, cudowne wydarzenia, które doprowadziły do powstania Koranu opisując jako fakty.

Mnożą się alarmy, że nauczyciele szkół publicznych są coraz gorsi. Poziom egzaminów testowych, jakim poddawani są słuchacze studiów nauczycielskich może niekiedy porazić. Studentom takim zadaje się pytania z gramatyki na poziomie szkoły podstawowej. Z matematyki może się zdarzyć i takie pytanie: która z podanych liczb jest czwartą częścią miliona – 40000, 250000, 25000000, 1/4000000, czy 4/1000000? Na studia nauczycielskie przyjmuje się młodzież z najniższymi stopniami ze szkoły. A potem nauczanie matematyki zastępuje się nauką „matematyki konstruktywistycznej”. Zamiast rachowania, dzieci zachęca się, by „szacowały” poprawne odpowiedzi, buduje się w nich pewność siebie, zachęca uczniów do wspólnego rozwiązywania zadań bez „niepotrzebnych” ingerencji nauczyciela, ponieważ dziecko lepiej się czuje w gronie rówieśników, niż w „konfrontacji” z nauczycielem. Jak to ktoś podsumował, kiedyś dzieci w tajemnicy przed rodzicami dzieliły się wiedzą o prokreacji, w szkole natomiast były nauczane matematyki, a dziś nauczyciele uczą je używania prezerwatyw, zaś o aksjomatach Euklidesa mówią im Jaś i Małgosia. Tylko

dlaczego amerykański związek zawodowy nauczycieli oraz tamtejsi „edukatorzy” dziwią się, że ich młodzież przegrywa szkolne olimpiady matematyczne? Dlaczego pomijają milczeniem fakt, że szkoły niepubliczne są lepsze, że nawet dzieci uczone w domach i do szkoły w ogóle nie uczęszczające wypadają na ogólnokrajowych testach lepiej niż ich rówieśnicy ze szkół publicznych? I dlaczego kłamią, że odchodzenie młodzieży ze szkół publicznych do prywatnych w ramach tzw. systemu kuponowego¹⁰ jest droższe niż pozostanie tej młodzieży pod kuratelą szkolnictwa publicznego?

Jeszcze przy okazji problemów z edukacją: audytor obniżył ocenę pewnemu przedszkolu w Kalifornii za to, że znalazł na jego terenie plastikowe żołnierzyki.

Walka z prawem do posiadania broni zaprowadziła ostatnio 8-letniego chłopca do sądu za „atak z niebezpieczną bronią”. Chłopak mierzył z pistoletu-zabawki do innych dzieci. Jego rówieśnik z innego stanu został oskarżony o akt o znamionach terroryzmu – pistolet tego zbrodniarza był zrobiony z papieru. Z kolei pewnemu właścicielowi sklepu z bronią firma Dell odmówiła sprzedania komputera typu „laptop”, ponieważ broń ręczna jest wykorzystywana przez terrorystów, zaś sprzedaż komputerów takowym jest nielegalna w świetle prawa amerykańskiego.

Sprzeciw wobec prawa do posiadania broni przyniósł niestety również sensację większego kalibru. Historyk z Uniwersytetu w Emory, Michael Bellesiles, napisał książkę, w której wykazał – powołując się obficie na źródła – że posiadanie broni było we wczesnych Stanach absolutną rzadkością. Za książkę dostał prestiżową nagrodę. Wszakże inni badacze, zaskoczeni rewelacjami Bellesilesego, zaczęli sprawdzać źródła, które rzekomo zbadał i okazało się, że wiele z nich nie istnieje. Książka, gorzej -- naukowa książka, okazała się zwykłym oszustwem! Inna sprawa, że nie jest to pierwsze oszustwo naukowca. Tak, jak przywykliśmy już do przedstawiania hipotez jako prawd naukowych, natychmiast zresztą nagłaśnianych przez media, jeśli akurat odpowiadają modzie (*vide* modne dziś straszenie globalnym ociepleniem).

W efekcie, w ostatnim, lutowym numerze „Chronicles” redaktor naczelny dwumiesięcznika, Thomas Fleming, radzi swoim rodakom, by porzucili *fikcyjne wyobrażenie, iż żyjemy w dekadentckim okresie rzymskiego imperium, czasach Nerona i Kaliguli [...]. Naszym światem rządzą barbarzyńcy, tak jak rządzi Rzymem w VI wieku.*

Nauka i myśl konserwatywna

Wspominałem już w jednym z poprzednich odcinków przeglądu (ARCANA 5/2001), że cały pierwszy zeszyt roczny numer kwartalnika „Modern Age” poświęcony został nauce w oczach wybranych konserwatystów amerykańskich. Tamże przedstawiłem jeden esej z owego numeru, pióra ekonomisty Davida Glasnera, i przyrzekłem streszczenie kilku innych w przyszłości. Słowo się rzekło, wracam więc do tamtej relacji.

Autorzy dwóch pierwszych esejów zamieszczonych w kwartalniku starają się spojrzeć na współczesność w sposób możliwie ogólny (w następnych autorzy skupiają się raczej na problemach szczegółowych). Wybitny historyk i filozof nauki, ojciec prof. Stanley Jaki OSB, z pochodzenia Węgier, doktor teologii i fizyki, zatytułował swój artykuł *Za tysiąc lat*.¹¹ Jego osnowę stanowią zwykłe, codzienne lektury znanych i poważanych gazet i tygodników (*The Wall Street Journal, The New York Times, Time*), nadto zaś obrazki telewizyjne z nocy, gdy

świętowano przełom tysiącleci. Trudno oczywiście znaleźć lepszą ilustrację nędzy współczesności, tego panopticum pseudomyśli oraz duchowego nieładu niż to, co można znaleźć w mediach. Przykłady, które przywołuje o. prof. Jaki służą mu wszakże do wykazania faktu i zarazem problemu podstawowego – nieobecności Boga w słowie pisanym oraz mówionym, braku choćby śladu na piśmie czy w obrazie telewizyjnym największych wydarzeń w historii, jakimi były narodziny i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. To prawda, pierwszego dnia nowego milenium można było w zachodnich telewizjach zobaczyć migawki z nabożeństwa na Placu Św. Piotra, zaś następnego *Wall Street Journal* napisał, że to te właśnie uroczystości robiły największe wrażenie, ale przecież traktowane w kategoriach estetycznych, w żadnej zaś mierze religijnych. Któremu z „poważnych” redaktorów „poważnej” gazety przysłoby do głowy potraktować religię albo jej wyznawanie zgodnie z właściwym znaczeniem tego słowa, czyli jako wiązanie się z Bogiem, od *re-ligare*, do tego wiązanie się z Bogiem żywym, a nie jakimś odchodzącym w przeszłość symbolem? Kto dziś chciałby na serio pisać o religijnym kulcie, gdy samemu pojęciu kultu przypisano wyźwięk wyłącznie pejoratywny. Jak trafnie zauważa o. Jaki, już nawet słowo kultura jest na wszelki wypadek zastępowane słowem cywilizacja, bo zbyt jest bliskie jego brzmienie (i znaczenie!) kultowi.

O. Jaki niejako zderza narodziny człowieka nowożytnego z jego dziś przez nas oglądaną śmiercią. Dwunastowieczni uczeni z Chartre pochylali się z szacunkiem nad historią Greków i Rzymian – pisze o. Jaki – ponieważ starożytni byli na ziemi, gdy nadeszła pełnia czasu. I oto owa pełnia czasu nauczyła ludzi tego, czego starożytni zaakceptować nie chcieli – że *na długo nim nastala starożytność, człowiek utracił coś niezmiernie ważnego, co wykraczało poza jego naturę*. Ludzie średniowiecza patrzyli na starożytność i na własną współczesność przez pryzmat owej lekcji, do głębi świadomi zbawczej mocy Chrystusa i zarazem człowieczego upadku. *Kiedy średniowieczni upadali, wiedzieli, że upadają. [...] Nigdy nie wychwalali tego, co mogło im przynieść jedynie wstyd.*

Tymczasem w XX wieku, *dwa pokolenia temu potrzebował Etienne Gilson niemalej odwagi, by powiedzieć bez ogródek: „Renesans wyznacza początek ery, w której człowiek ogłosił zadowolenie ze swego upadku.”* W dobie Oświecenia Rousseau wymyślił z nienawiści do doktryny grzechu pierwotnego swojego szlachetnego dzikusa (który to wyczyn powtórzyła z wielkim sukcesem kilkadziesiąt lat temu Margaret Mead). Był to epizod godny odnotowania, zaznacza o. Jaki, ponieważ Rousseau starał się swoim tezom przydać empirycznych podstaw, a przecież doświadczenie od zarania dziejów i poprzez wszystkich ludzi -- autora „Wyznań” nie wyłączając – wskazywało na człowieczą skłonność do błędzenia i czynienia zła, a zatem nieomylnie wskazywało na realną obecność skutków grzechu pierwotnego.

Dziś wykształcony czytelnik „poważnych” gazet nie wie czym jest grzech pierwotny, gorzej, najczęściej nie rozumie pojęcia grzechu, zaś o klonowaniu człowieka dowiaduje się, że *jeśli okaże się moralnie do przyjęcia, być może uda się go użyć w takich niszach, w których inne metody zawodzą*. Przykłady moralnej degeneracji można by mnożyć, tak jak przykłady ahistorycznego bełkotu, który ma opisać polityczne konflikty, albo przykłady nowomowy, w której starym słowom nadaje się nowe i nonsensowne znaczenia. W świecie, który od paru już wieków stara się być światem bez religii, wszystko to jest możliwe. Odruchy moralnego oburzenia albo odrazy podlegają manipulacji, tak by służyły politycznym interesom możliwych tego świata, konserwatyzm zostaje zredukowany do pochwały wolnego rynku i kapitalizmu, naukowcy ledwie wspominają o szaleństwach neopogańskich ideologii XX wieku, zadowoleni z triumfów jakobińskiej demokracji oraz materialnego bogactwa Zachodu.

W kolejnym eseju prof. Thomas Molnar, także Węgier, jakby kontynuuje myśl o. Jakiego. Píše: *Nasz klasyczna i religijna kultura opierała się na takiej oto centralnej idei – słowa oznaczają rzeczy. Nie było tak, jak chcieli nominaliści. W swoim początkowym kształcie i swych początkowych treściach nauka odwoływała się do esencji rzeczy, do greckiego physis.* Prof. Molnar szkicuje w swoim artykule, jak kolejne epoki odpowiadały na pytanie „co jest?” oraz jak rozumiały pojęcie faktu, bo nauka właśnie faktów dotyczy. Przypomina jakie było widzenie kosmosu przez pogaństwo, jaka wizja kosmosu była później związana z monoteizmem i jak na koniec majestatyczny i osobowy Bóg oraz Pan wszystkiego został zastąpiony przez Wielkiego Zegarmistrza, z której to pozycji już chyba także abdykował.

I oto nauka została zastąpiona przez technologię, i to nie tyle skutkiem nowego spojrzenia na surowe dane, co skutkiem zmiany całego zbioru założeń epistemologicznych. [...] Uważaliśmy kiedyś, że nauka nie jest tylko zamkniętym „naukowym systemem”, lecz że jest częścią w sieci znaczeń, w sieci poszukiwań kosmicznej harmonii, w serii wyrastających z siebie języków, ciągłych rewolucji, zmian wzorców i paradygmatów, które jednak wciąż dają się na nowo uzgodnić. [...] Dziś nie mamy do czynienia z dociekaniem naukowymi [...], raczej z antynauką, której ideałem jest odrzucenie znaczenia (jak w nowoczesnej sztuce i polityce), jakaś forma hybris. Dowolny absurd można ogłosić zdobyczą nauki. Technologia dostarcza „gadżetów”, przestrzeń moralna została zawężona do świata technokraty, inżyniera społecznego oraz biznesmena, skąd zresztą płynie dobre samopoczucie współczesności poddanej prymitywnemu królowaniu techniki i maszyny. *Człowiek zawsze używał narzędzi, zbyt słaby i mały bez owego przedłużenia swych rąk. Ale nowoczesna technologia nie ma ułatwiać osiągnięcia czegoś, nie ma doskonalić naszych możliwości. To coraz bardziej złożony zbiór maszyn, nie przedłużeń ciała, ale samoreprodukujących się kopii powstałych z innych kopii, coraz odleglejszych od naszych potrzeb [...].* Maszyna stała się jedynym sposobem kontaktowania się człowieka ze światem. *Sen o nowoczesności przybrał kształt snu o wyprodukowaniu inteligentnej maszyny myślącej oraz genetycznej produkcji mechanicznie doskonałego człowieka.* Maszyna przeżyła swój heroiczno-epicki okres u Zoli, przypomina Molnar, *Ameryka odnalazła swoje powołanie w technicznej gigantomanii, zaś sowieccy propagandyści wymyślili cnoty stachanowców. Nikt wówczas nie potrafił zrozumieć, że prometejska maszyna niesie niszczącą duszę banalność [...].¹²* Życie człowieka przestało być jego opowieścią, mającą sens, moralną wartość, napięcia między sferą sacrum i profanum.

A jednak tak kończy wcześniej przywoływany esej o. Jaki: *Takie są niektóre fakty epoki, która od paru już wieków stara się obyć bez religii, czyli bez kultu. Za tysiąc lat niemal wszystko będzie niewyobrażalnie inne niż jest dzisiaj, ale coś pozostanie dokładnie takie samo jak było od niepamiętnych czasów. Ludzkość będzie miała kultury, bo bez nich nie może żyć. Kultury te będą niestety popadać w konflikty między sobą. I jeżeli Zachód nie chce zaprzeczyć swej własnej naturze, najważniejszą sprawą dla jego przetrwania jest uświadomienie sobie, jaki kult kultywować. Nie ma i nie było na świecie drzewa, które rozwijałoby po jego wykorzenieniu. Ta prawda pozostanie niezmienna za tysiąc i więcej lat.*

W innych esejach „Modern Age” Bryce Christensen analizuje wpływ ewolucjonizmu na teorie językoznawcze i w pewnej mierze antropologiczne od końca XIX wieku, filozof John Caiazza opisuje karykatury człowieka wyrastające ze skompromitowanych „badań” Margaret Mead i Alfreda Kinseya, historyk Grant Morrison, politolog Thomas Spragens, o. prof. James Schall S.J. oraz obszernie już poprzednio przywołany David Glasner analizują związki nauki i kultury z tradycją Oświecenia, wreszcie filolog klasyczny (i, jak wcześniej przypominałem,

redaktor naczelny „Chronicles”) Thomas Fleming pisze o irracjonalizmie racjonalizmu, zaś matematyk Wolfgang Smith o nauce jako środka odbudowy kultury.

Właściwie wszystkie te eseje są mocno wzajemnie splecione, często przywołują przykłady tych samych myślicieli, wszystkie bowiem – czy jest to ich motyw naczelny, czy też nie – muszą z oczywistych względów odnosić się do dorobku Oświecenia. Razem składają się na uważną i wyważoną analizę różnych domen „oświeceniowego planu”, jak się wyraża Thomas Pragens, który postarał się o szczególnie precyzyjne rozważenie oświeceniowych propozycji epistemologicznych, antropologicznych, moralnych i politycznych. Autorzy starają się oddać różnice między koncepcjami radykalnymi i umiarkowanymi, a także wymienić to – znowu zwłaszcza Pragens -- co z oświeceniowego planu warto zachować. Niniejsza rubryka nie jest oczywiście miejscem na powtarzanie takich szczegółowych analiz (zaś autor tej rubryki nie jest do oceny owych analiz powołany), ale bezpiecznie można stwierdzić, że analizy te, choć naprawdę ciekawe, to przecież nie mogą nieść jakichś niespodzianek. Niech mi jednak będzie wolno zdać sprawę z dwóch obserwacji szczególnie mocno związanych ze współczesnymi osiągnięciami nauki.

W ostatnich latach coraz częściej można czytać w periodykach uważanych za konserwatywne, iż ewolucjonizm i socjobiologia dostarczają naukowych „dowodów” na słuszność konserwatywnych tez. Nigdy nie relacjonowałem takich publikacji, ponieważ uważam je za z założenia pomyłone. Mówiąc krótko i bez wnikania w związki refleksji ontologicznej oraz aksjologicznej z jednej strony z wynikami nauk szczegółowych z drugiej: mój – to jest konserwatysty -- pogląd na np. nierozzerwalność małżeństwa, wartość rodziny i wspólnoty w konfrontacji z wartością mojej jednostkowej wolności nie ma za swój fundament jakichkolwiek wyników nauk szczegółowych i kropka (jest inną sprawą na ile nauki szczegółowe mogą mi pomóc w sprawieniu, by moje czyny były słuszne, czyli rzeczywiście zmierzające do realizacji danego dobra). W swoim esej Fleming także pisze, że mądrość Pism żydów i chrześcijan znalazła obecnie swoje potwierdzenie w naukach szczegółowych. Zarazem jednak – i przede wszystkim – roztrząsa w kontekście metafizyki oraz doktryn prawa naturalnego Arystotelesa i św. Tomasza abstrakcyjny charakter myśli Kartezjusza, stąd zaś głównie myśli Locke’a, i w końcu nowoczesnego liberalizmu. *Być może – pisze – największym błędem etyki racjonalistycznej jest zredukowanie wszystkich relacji międzyludzkich do działań niczym nieskrepowanych indywidualów wyposażonych w magiczne właściwości zwane prawami.* Indywidualizm liberalizmu jest na pewno nie mniej arbitralny niż stwierdzenie, że *jednostka ludzka jest epifenomenem, stadium przejściowym między tej jednostki rodzicami i dziećmi. [...] Naturalnym celem każdej jednostki (owada, ptaka czy giełdowego maklera) jest nie tyle przetrwanie tu i teraz, co nieśmiertelność, której jedynym sposobem osiągnięcia jest posiadanie dzieci, które też mają dzieci.* Są to sformułowania po części metaforyczne, ale potrzebnej ścisłości nadają im dziś właśnie nauki szczegółowe, zwłaszcza socjobiologia. W świetle tych nauk *kartezjański racjonalizm, gdy odniesiony zostaje do spraw ludzkich, okazuje się najbardziej irracjonalną rzeczą na świecie. [...] Kto więc, kto pozostaje przy zdrowych zmysłach, może dziś powtarzać przeciwne intuicji i antynaukowe banały Locke’a, Rawlsa, Marxa, czy Dereka Parfitta?* Zaiste, obowiązek ustalania zgodności teoretycznych przesłanek z wynikami nauk szczegółowych należy do nowoczesnych racjonalistów, i to oni powinni rewidować przesłanki, gdy tej zgodności nie ma. Ci, którzy własnego rozumu nie uznają za najwyższą instancję mogą się tylko cieszyć, gdy np. jakieś mechanizmy biologiczne ułatwiają im spełnianie ich powinności (lub martwić, gdy tak nie jest, najczęściej słusznie wierząc, że owe mechanizmy nie zostały jeszcze dostatecznie głęboko poznane by uzasadnić w istocie naturalny charakter owych powinności).

Na koniec parę słów o ciekawym poglądzie Wolfganga Smitha. Wychodząc z tradycyjnego dziś podziału nauk na formalne i empiryczne, słusznie ów autor zauważa, że te drugie ograniczają poznanie do tego co mierzalne, podlegające kwantyfikacji. W rezultacie nauka jako metoda poznania rzeczywistości zakłada metodologiczny redukcjonizm i nie zakłada jakiejś ontologii. Smith analizuje źródła owego redukcjonizmu, którą to analizę tu pomijamy. Uważa dalej, że skutkiem wspomnianego redukcjonizmu oraz zwycięstwa współczesnego racjonalizmu, nauka jest w znacznej mierze współodpowiedzialna za wyrugowanie z kultury wymiaru wertykalnego, a przez to za tej kultury degenerację. Ale też zauważa, i na to chcę tu zwrócić uwagę, że nauka stała się w XX wieku świadoma swoich ograniczeń, a to może sprawić, iż jej dalszy rozwój ulegnie fundamentalnej jakościowej przemianie i będzie się odbywać w harmonii z odbudową hierarchicznej kosmologii, wykraczającej poza wymiar jedynie horyzontalny, materialny. Według Smitha mamy coraz więcej przykładów uświadomionych ograniczeń poznania naukowego, które jego zdaniem mogą zapowiadać zmianę metodologicznych podstaw naukowego poznania. W swoim artykule podaje cztery takie przykłady (twierdzenie Gödla o niezupełności każdej teorii matematycznej zawierającej elementarną arytmetykę liczb naturalnych, zasadę nieoznaczoności Heisenberga, opublikowaną w ostatniej dekadzie XX wieku teorię Williama Dembskiego o nieuniknionej obecności inteligentnego sprawcy zdarzeń dostatecznie nieprawdopodobnych oraz wyniki wieloletnich badań doświadczalnych Jamesa Gibsona nad zjawiskiem percepcji wzrokowej).¹³

¹ W rocznicę Pearl Harbor przypomniał o tym w publicystyce amerykańskiej np. Patrick Buchanan.

² Nie jest tu istotne, że być może Roosevelt wiedział o japońskiej inwazji zawczasu, ale fakt ten ukrył chcąc Amerykę wiągnąć do wojny światowej. Niezależnie od tego co Roosevelt wiedział, elity powinny były obawiać się agresywnych poczynań Japonii.

³ Roberts należy do czołówki komentatorów amerykańskich, jest naukowcem w Instytucie Hoovera na Uniwersytecie w Stanford, autorem kilku książek na tematy ekonomiczne i polityczne, był wpływowym doradcą ekonomicznym w pierwszych latach prezydentury Ronalda Reagana.

⁴ Niech mi będzie wolno jeszcze raz się zastrzec: nie chodzi tu o ocenę trafności polityki międzynarodowej USA, lecz o zadziwiające nierozumienie jej konsekwencji.

⁵ „The National Interest” jest kwartalnikiem politycznym dalekim od konserwatyzmu, ale stara się zamieszczać głosy różnych opcji ideowych. Jestem wdzięczny Redaktorowi Naczelnemu ARCANÓW za skłonienie mnie do dodania kwartalnika do moich regularnych lektur.

⁶ Prof. Schroeder zgadza się, że odpowiedź musiała być stanowcza i natychmiastowa i że działanie zgodne z przyjętymi zasadami stosunków międzynarodowych (np. na bazie ONZ, NATO czy międzynarodowych wysiłków dyplomatycznych, jak niedawno temu w przypadku Bałkanów) doprowadziłoby do rozmycia i osłabienia reakcji, i w końcu uczynienia jej nic niewartą, bo nie rozwiązującą problemu. Ale fakt pozostaje faktem i ważne jest jak długo ma taka natychmiastowa odpowiedź trwać, jak dalece ma prawo wpływać na sytuację międzynarodową. Poczucie sprawiedliwości i chęć naprawy świata, jeśli prowadzą do kroków nierozsądnych, są jak owe dobre intencje, którymi wybrukowane jest piekło.

⁷ Nota bene, Sobran twierdzi, że autorem terminu „oś zła” jest znany komentator kanadyjski, David Frum, według Sobrana członek lobby proizraelskiego, opowiadającego się za wojną USA z Irakiem.

⁸ W Polsce, w kontekście obecnej sytuacji międzynarodowej, pisał o tym na łamach „Rzeczpospolitej” Ryszard Kapuściński.

⁹ Z pewnością parcie części wpływowych środowisk amerykańskich do wojny z Irakiem ma wiele przyczyn. Jak już wspomniałem, zdaniem niektórych komentatorów, swój udział w tym parciu ma lobby proizraelskie. Bez wątplenia działa pragnienie okiełznania państwa zbójckiego, istotną też rolę pełnią interesy ekonomiczne. Jasne jest również, że już same prowojenne wypowiedzi mogą być pomyślane jako element nacisku na Saddama Husseina. Jednak stałe nasilanie się trendu konfrontacyjnego, coraz bardziej wojownicze wypowiedzi prezydenta Busha zaskakują nawet wytrawnych polityków Kongresu, należących do grona republikańskich konserwatystów – co innego mówił im George W. Bush jeszcze parę tygodni temu, co innego mówi dziś publicznie (tekst ten piszę w połowie marca 2002).

¹⁰ W takim systemie, gminny wydział edukacji płaci za kupon ucznia, którym ten uiszcza chesne w prywatnej szkole.

¹¹ Eseiście tego znakomitego, a wśród Czytelników ARCANÓW chyba nieznanego uczonego należało będzie kiedyś poświęcić więcej miejsca.

¹² W innym miejscu prof. Molnar przypomina tych, którzy widzieli jak C.S. Lewis „upadek człowieka”, wspomina przestrogi Maxa Webera i diagnozy Ortegi y Gasset, ale dodaje: *Tragedią jest to, że z tych jednostkowych reakcji nie wyrosła spójna filozofia lub przynajmniej społecznie dostrzeżona diagnoza przyszłości.*

¹³ Nad problemami współczesnej nauki, i współczesnych naukowców, autor tych przeglądów będzie chciał w niedalekiej przyszłości wypowiedzieć się oddzielnie, w formie niezależnego artykułu przedstawiając to co sam obserwuje jako naukowiec.